



MAŁGORZATA
KALICIŃSKA

*Miłość
na walizkach*

Małgorzata Kalicińska

MIŁOŚĆ NA WALIZKACH

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2023

ISBN: 978-83-67769-81-5

Copyright © Małgorzata Kalicińska

Projekt okładki: Olga Bołdok

SPIS TREŚCI

Wiosna w Ulsan

Korea, Tosiek i ja

Podróże małe i duże

Korea dzień po dniu

Ups...

Jesień

Maile – kontakt ze światem

Plac pod Kamieńczykiem

Plac, działka, czyli co ja tu robię

Urle, Bug i ruiny

U taty i Anki

I znów Ulsan

Marzec, pakowanie

No to... jazda!

No, chooodź!

Palcem po mapie

Klaus. Może nie święty, ale Klaus

Zima...

U nich

Jakaś ty urocza! Czyli dałam się

Zima, zima, zima

Warszawski spleen

Dagmara

...i po sprawie

Zmiana planów?!

Nie! Nie teraz!

Obuchem...

Przyzwoitość

Składam broń

A Lizbona?

No to Lizbona!
Dzień następny
Kłótnia...?
Belém i babeczki wcale niespecjalne
Fado i jak się ululaliśmy
Plomba, czyli zmiany...
Regina, czyli... „Coś podobnego!”
Sławek?!
Nieoczekiwana wizyta
Żegnaj, Saska Kępo!
Farby i lakiery, czyli powtórka z rozrywki
HELL-sinki
Dom na Zacisznej
Australia musi poczekać
Ślachetne zdrowie...
Dzień za dniem
Wizyta
Pojechałam do Anki
Poniedziałek
Taka kolejna sytuacja
A tymczasem zima
Zima – ciąg dalszy
Witaj, Australio!
Australia przed nami! Zapiski z podróży – bez kalendarza, za to z emocjami
Walizka! Czyli spokój
Marrony – czym to się je?
Sydney
Babski wypad
Opera House
Jazda!
Koniec i kropka?

Epilog, czyli kilka słów na koniec
Posłowie

Wiosna w Ulsan

Jest! Czeka na mnie. Już widzę jego uśmiechniętą twarz wśród postaci witających podróżnych na lotnisku.

– Kochanie moje!

Wieszam mu się na szyi.

Lubię wszelkie hale przylotów. Jest jak na filmie *To właśnie miłość*. Wszyscy się cieszą, uśmiechają, śmieją, wołają albo milczą wzruszeni, wrzeszczą dziko, wskakując na kogoś, albo układnie podają dłoń. Bywają powitania przebojowe i nieśmiałe, pogodne i obojętne, ale ja lubię obserwować te, w których następuje wybuch radości. Spontaniczne buziaki, uściski, przytulanki i szepty, okrzyki radości. Zatrzymuję się i gapię, i mimo że sama kipię radością, jeszcze wychwytyuję te scenki. Mogłabym każdą z osobna opisać, podomyślać się, kto jest kim.

– Ty to masz fantazję – kwituje moje przypuszczenia Tosiek, przyciągając mnie do siebie.

Znów czuję tę jego ciepłą dłoń, zdecydowany męski uścisk. Idziemy do pociągu. Nie ma sensu jechać tu, do Seulu, samochodem. I chociaż wiem, co i jak mam zrobić, gdzie jest metro, gdzie dworzec kolejowy, cieszę się, że mój niemal mąż wyjechał po mnie pociągiem aż tutaj, żeby zrobiło mi się miło.

Jest sobota, Antek tak obmyślił mój przelot, żebym zjawiła się w weekend. Żeby mógł się mną zająć.

– A może chcesz zostać? Znajdziemy hotel, połączymy po Seulu?

– Wybacz, ale do doooooomu! Do Seulu wpadniemy później, co? Będą tu jakieś atrakcje? Koncerty?

– Mają być. Sekretarka mówiła, że czwartego czerwca będzie świetny koncert muzyki filmowej czy... nie pamiętam szczegółów. Jakies pokazy technik filmowych, balet...? Ma też być jakaś gwiazda... eeee... nie pamiętam. A nawet jeśli nie, powiedz tylko, a natychmiast to zorganizuję. Podobno znów ma przyjechać Adele. Chciałabyś?

– Jasne! Polecimy?

– Albo pojedziemy.

„Do domu” – myślę ciepło o naszym, n a s z y m mieszkaniu w tym mieście. Bo tak jest – jestem tu częściej niż na Zwycięzców, czuję, że to moje miejsce. Zwłaszcza że Tosiek tak ładnie do mnie napisał:

Pusto bez Ciebie, Marianno. Wracam z pracy ze smutkiem, choć ten smutek osładza nasza obrączka na palcu. Patrzę na nią i zaraz myślę, że Ciebie nie ma tylko na chwilę, że przecież jednak jesteś!

Ty wiesz, co zrobiłem? Uśmiejesz się. Wyjąłem z Twojej szuflady ten szary sweterek i zawiesiłem go na krześle koło komputera. A tiszercik taki pomarańczowy z R2-D2 na plecach i C-3PO na przedzie położyłem na Twoim pufie koło łóżka. I lepiej tak – dom wygląda, jakbyś tylko wybiegła po pomidory. Stary głupiec? Może tak, ale od kiedy nie słyszeć tu Twojego śmiechu, nie czuć rosołu, smutno mi.

Była u mnie wczoraj mała Choprówna. Ależ to jest śliczne dziecko! Maleńka, subtelna dziewczuszka. Urocza! Ma dwa i pół roczku. Mówię Ci – sam cukier! Kiedy wracały ze spaceru – opiekunka i mała Sara – zapukały do mnie, bo podobno Sara się uparła, żeby zapukać do wujcia. Byłem w domu na obiedzie (zrobiłem sobie na szybko ryż smażony z jajkiem i szpinakiem – Twoja szkoła!), otwieram, a tam stoi to maleństwo i uśmiecha się radośnie. Opiekunka oczywiście w

przeprosiny, ale Sara weszła odważnie, zrobiła inspekcję, zajrzała do talerza i za pozwoleniem opiekunki skubnęła nieco ryżu. Potem pomachała mi i poszły. Rozczulająca jest. Już zapomniałem, jakie fajne są małe dzieci. A może nigdy tego nie zauważyłem? Gdy Minika była mała, ja harowałem do dwudziestej, dwudziestej drugiej na dwóch etatach, bo dorabiałem u prywaciarza, żeby szybko kupić porządne mieszkanie, samochód... Ech, szkoda słów.

Tak czy inaczej, pozdrawiamy Cię wszyscy – wesoły Cedrik, rozczochrany John i Choprowie z Sarą.

Tak, u Choprów – Lali i Rasula – naszych miłych sąsiadów, pojawiła się pewnego dnia Sara, adoptowane koreańskie maleństwo. Lali nie mogła zrezygnować z pracy, więc wynajęła opiekunkę – miłą czterdziestoletnią Rosjankę znakomicie mówiącą po angielsku, mieszkającą niedaleko z mężem, oczywiście pracującym w stoczni.

Tak więc jestem „w ramionach naszego domu”, w ramionach Antka i w ramionach Korei, którą już zdążyłam polubić i nawet nieco zrozumieć.

To zasługa Antka, który z uporem godnym lepszej sprawy zrobił ze mnie łazika. Gdy niemal w każdy weekend zdobywamy jakiś szczyt, trwa to z reguły krótko. Rano wyjazd, ale koło piętnastej, szesnastej jesteśmy już przy samochodzie, głodni jak diabli. Wracamy przez miasteczka, które już rano spenetrowałam przez okno w poszukiwaniu knajpek. Tosiek o tym wie i tylko czeka, aż powiem: „O, tu się zatrzymaj!”. I albo to rzeczywiście jakiś bar, albo spora restauracja nastawiona na turystów, albo maleńka jadalnia jak ta pod górą w pewnym miasteczku... nie pamiętam jakim... która okazała się kawałkiem prywatnego mieszkania – spory pokój, cztery stoliczki do siedzenia w kucki, maleńki kantorek, lodówka z napojami i już. Jedzenie właścicielka przyrządzała w prywatnej kuchni. „Smażone w głębokim tłuszczu, więc nie ma się czego bać” – rzuciłam, choć wiedziałam, że Antek się nie boi. Nie w takich miejscach jadał i nigdy się nie struł.

No i jesteśmy już w domu, w którym czysto, posprzątane. Scindapsus, jakby bliźniak mojego warszawskiego, rośnie tu na potęgę, zwłaszcza że regularnie dostaje nawóz. Pod moją nieobecność administracja wymieniła Antkowi lodówkę na wielką dwudrzwiową, z kostkarką do lodu, i zapowiedziała, że za rok każde mieszkanie będzie wyposażone w minikompostownik do resztek organicznych.

– W co?!

– Jutro ci pokażę w Mega Markcie – obiecuje Tosiek, bo jutro jedziemy na zakupy. Przecież muszę uzupełnić lodówkę na „swoją gust”. Teraz jest w niej tylko mleko, sześć jajek, dwa pomidory, ser topiony w plastrach, mój przeschumowany rokpol i śledzie. Nic więcej! Męski minimalizm.

Ale ta kostkarka jest świetna! Kompostownik?! Hę?

Dość szybko zaliczyliśmy sypialnię, bo jednak po obiedzie zjedzonym po drodze do domu i małym odpoczynku na kanapie przy herbacie rozcałowaliśmy się, opowiadając sobie szeptem o tym, jak tęskniliśmy.

Jesteśmy dorośli, dojrzały i umiemy czekać. I właśnie przy herbacie i koniaczku przyszedł czas na to, co kipiało w naszej codziennej tęsknocie. A raczej conocnej. Każdego dnia bez Antka moje myśli były z nim niemal zawsze. Zawsze miałam go gdzieś z tyłu głowy. Gdy byłam zajęta rozmową z kimś, kręciłam na palcu obrączkę jak młynek modlitewny. To uspokajało. A wieczorem, już w łóżku, miałam go pod powiekami. Nie podniecało mnie to, ale uspokajało. Że

on gdzieś jest. Mój Tosiek.

– To co? Nie tęskniłaś za mną tak bardziej sensualnie? – zapytał niemal z pretensją i zaraz dodał: – Bo ja często marzyłem o twojej obecności i o tym, żeby się spleść, zagłębić w tobie... Oj, Mańka! Mańka, Manieczko, Maryniu moja... dobrze, że wreszcie jesteś!

I nie dając mi odpowiedzieć, całował czule, coraz mocniej.

Nie potrzeba było dłuższej zabawy, bo akurat po takiej rozłące potrzebowaliśmy kochać się mocniej niż zwykle. Na finezję przyjdzie pora.

Gdy złapaliśmy już oddech, Antek spojrzał na zegarek:

– Jejka, jak wcześnie. Dopiero ósma! Nie zasnę. A Ty?

– Ja też. Chodź, wstajemy, za wcześnie na sen!

– Jutro po zakupach zawiozę cię do świątyni na wzgórku, *vis-à-vis* stoczni.

– Do parku Jujeon? Tam, gdzie jest wieża sygnałów dymnych?

Tosiek się roześmiał.

– Skąd wiesz? Zapamiętałaś? Tak. Tam jest teraz festiwal kwitnących wiśni, dzikich czereśni i azalii. Oszalejesz, jak zobaczysz!

– A po drodze kamelie?

W szlafrokach posiedzieliśmy jeszcze na kanapie, grając w scrabble.

Korea wiosną? Kwitnące czereśnie i azalie? O, tak!

Korea, Tosiek i ja

Bywa tak, że wpadamy z popłochem do sklepu tylko po pół bochenka chleba, bo zabrakło, a wychodzimy z torbą pełną zakupów. Jeszcze cukier i mleko, kawa się kończy, to trzeba wziąć, jeszcze może ciasto jakieś ukręć, to i drożdże, pomidory, ogórki (nie może zabraknąć witamin!), olej, bo był w promocji, i oliwa, bo tydzień grecki.

Wpadłam do Korei na krótki urlop i znalazłam Tośka, a wraz z nim moje obecne życie.

W sumie spędziłam w Ulsan z Antkiem prawie półtora roku! A miałam zostać miesiąc, dwa... Kto by się spodziewał?

– No właśnie. – Lilka usiadła na łódówce. Chyba lubi to miejsce, bo patrzy na mnie z góry i dogaduje: – Fajne chłopisko i do twarzy ci z nim. Zamierzasz to ciągnąć?

Moja zmarła siostra jest moim... hmmm... sumieniem? Odbiciem? Tak czy siak, pojawia się jako dobry duch i rozmawiamy.

– Zamierzam. Sama widzisz, że to zwyczajne staroświeckie uczucie. Zakochani starsi państwo – tłumaczę jej spokojnie.

– Tak, tak, ale wkurza mnie ta twoja kokieteria, żeś niby starsza pani.

– Ale bo co?! Zaraz, już niedługo zaliczę sześćdziesiąte urodziny, a mój...

– Tak, wiem. Twój narzeczony już je zaliczył i ty równasz do niego? A czemu tak? Nie korci cię, by się odmłodzić? Kurczę, siostra, przy dzisiejszych możliwościach mogłabyś odmłodnieć co najmniej o dyszkę.

– Wiem, Lilutku, wiem, ale po licha? Jestem, jaka jestem, a tracić pieniądze na lifting i odsysanie? Nie chce mi się.

– Ach, leniwa siostro – szepnęła – a mnie by się chciało. Takie teraz są możliwości... Masz kasę, mogłabyś. Komórki macierzyste, laser, fale jakieś tam...

– Z kim rozmawiasz? – Tosiek wszedł do kuchni z szerokim uśmiechem.

Popatrzyłam na łódówkę.

– Z Lilką – odpowiedziałam, wzruszając ramionami, a on otworzył lodówkę, wyjął plaster żółtego sera i rzekł:

– No tak... moja kobieta rozmawia z duchami. Co na obiad? Pojadę z samochodem do elektryka na Bangeojinie i zatankuję. Pa.

I wyszedł, zostawiając mnie w zamyśleniu.

Od słynnych wakacji na Fuerteventurze i Bali minęło już sporo czasu. Nadal wspominam je z radością i zachwytem. Książka o dziewczynach mieszkających poza Polską, a wiodących ciekawe życie, jest w księgarniach. Ju-hu! Po mojej rozmowie z Hanką z Australii dostałam namiary na tyle dziewczyn, że miałam w czym wybierać. To właściwie moja pierwsza książka w życiu, bo *Gotujemy, jemy, jemy* nadal niedopracowana. Stale coś do niej dodaję, coś zmieniam, no i teraz jest szansa, że wydam ją w redakcji współpracującej z „National Geographic”.

Podobno jeszcze ze dwa, trzy wywiady z modnymi dzisiaj celebrytami i będzie super.

Książka o moich dziewczynach na świecie sprzedaje się całkiem nieźle, a ja miałam wielką frajdę, gdy podpisywałam ją na targach wydawniczych. Może nie była to petarda, ale nakład poszedł! Telewizje zapraszały, wywiady były... Ewelina Łuszczewska pogratulowała mi i stwierdziła, że moje wtręty osobiste każą jej poprosić mnie o napisanie książki o Korei Południowej.

– U nas mało kto zna Koreę, a przecież mamy jej wiele na ulicach, w domach, w kieszeniach. Chętnie wydam taką pozycję! Co pani myśli?

– Ale ja nazywam się Roszkowska, a nie Kapuścińska. Gdzie mi tam do mistrza!

– A ja nie proszę o reportaż. Raczej o Koreę pani okiem, w łagodnym osobistym ujęciu. Ze zdjęciami. Co pani na to?

No jasne! Na ile mogę, dam radę. Jeżdżę do Tośka z miłości, ale prawda jest taka, że gdy skończyłam opracowywanie wywiadów, poczułam pustkę. A teraz znów mam co robić! Co za radość!

Tosiek pojechał nad morze na zjazd absolwentów, a potem z kolegą jachtem na męskie wędkowanie w Bałtyku, a ja spędziłam wtedy trochę czasu u taty. Sklep idzie dobrze, Kasia, córka Ani – obecnej żony mojego taty – ma nową protezę nogi, naprawdę świetną, najnowszą technologią. Pokazali mi zdjęcia z Chorwacji. Kasia na plaży, bez żadnego skrupowania w bikini i z tą protezą, która wygląda... kosmicznie, ciekawie. Świetne, zgodne z zasadą: jeśli nie możesz czegoś ukryć, wyeksponuj to! I Kasia eksponuje. Łukasz przy niej, kochający i pomocny.

Ania – gospośka pełną gębą, ojciec i ogród zadbani. I tylko mój tatko to już staruszek się zrobił. Szybko jakoś.

– Aniu, nie czujesz się zawiedziona? Ojciec tak się posunął...

– Cóż, kochana. Trudno, ważne, że jest! Mam do kogo usta otworzyć, komu pośpiewać, ugotować. Ja to lubię. Nikt nigdy dla mnie taki dobry nie był i nikt mnie tak nie szanował. Powiem ci w tajemnicy, że ja kiedyś próbowałam chodzić do takiego klubu dla samotnych, ale to nie dla mnie. Panie zbyt natarczywe w zalotach, a panowie zbyt wyluzowani, jeśli wiesz, co mam na myśli. Potem było takie kółko dla samotnych koło naszej parafii. Ja jestem wierząca i praktykująca, ale wieczorki dla samotnych – takie ugrzecznione rozmowy o wierze, wycieczkach do Częstochowy czy Lourdes... też nie. A Michaś to skarb! Poza tym, Marianno, menopauza gasi hucie. Przynajmniej u mnie. I jak Michał zaniemógł także pod tym względem, nie płakałam, bo mnie nie o to chodziło. Rozumiesz?

Kiwnęłam głową, że rozumiem, ale czułam się niezręcznie. Życie erotyczne ojca? Brrrr. Dzieci zawsze uważają, że ten temat w przyrodzie nie występuje.

Z jej opowiadań i z tego, jak tatko wygląda, wynika, że ich ślub to była dobra decyzja. Dostałam do wglądu najnowsze wyniki badań taty. Są dość dobre. Regularnie bywają u lekarzy

oboje, to też zasługa Ani. Tatko jest wesoły, ciekawy wszystkiego i gdy tak sobie pogadujemy koło pieca czy latem w altanie, rozmawia znacznie przytomniej niż przez telefon, gdy byłam w Ulsan. To chyba świadomość odległości tak na niego wpływała. Musiałam tylko czasem mówić głośniejsze albo coś objaśnić dodatkowo. Mój kochany sucharek, mój przystojny tato Michał! Oby żył wiecznie.

Podróże małe i duże

Te prawie dwa lata spędzone tu, w Korei, to wyjazdy dalekie i bliskie. W poprzednim życiu nigdy się tyle nie najeździłam. Wyjazdy do taty to tylko mały myk za miasto. Dawniej z Mirkiem to... tylko na wakacje, a i to niezbyt daleko. No i służbowo – Japonia, Sopot, Kazimierz, Kraków czy Wrocław na jakieś sympozja. Z Antkiem to cotygodniowe wyskoki w głąb Korei. Czasem już w piątek, żeby mieć półtora dnia na zwiedzanie i choć połowę niedzieli na powrót.

Najczęściej łązimy w góry, czasem zaliczamy jakiś koncert albo tylko spacer po Pusan, Daegu, Seulu, Suwon czy Gwangju. Zawsze mnóstwo łażenia, patrzenia i pojadania. Tak się poznaje kraje, ludzi, obyczaje i kulturę. Wspaniale jest włożyć wygodne buty, wsunąć łapę w łapę Tośka i iść, iść... Zawsze mam co i kogo oglądać. Ludzie niezwykle mnie interesują. Już drugi rok obserwuję, jak się zachowują na ulicy, wobec siebie, wobec turystów. I wiem, jak wiele bredni pojawia się na forach. Szczególnie wymyślonych przez tych, którzy tu nigdy nie byli! Od razu rozpoznaję komentatora – był? Nie był?

Nie ma mowy, żeby nie odczuć tu ludzkiej sympatii, choć odrobiny serdeczności i powszechnej grzeczności. Czasem czytam Antkowi takie wpisy na głos i podśmiewamy się z jędrków mędrków, którzy opowiadają banialuki wysane z palca, snując dziwne refleksje z krótkiego pobytu w Korei Południowej.

Tu trzeba pobyc! Zrozumieć choć troszkę specyfikę Korio.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI